

II.

Morderstwo!

Krzyk taki nie pozostaje zwykle długo bez odpowiedzi. Jednak pani Hanier wołała co chwila „morderstwo!“ — i ciągle nadaremnie. Zdawało się, że ponura noc zdławiła wszelkie życie i całe milionowe miasto naraz zamieniła w grób.

Nareszcie krzyk jej zbudził dwóch Francuzów, którzy zamieszkiwali mały barak w pobliżu i stółowali się u Hanierów. Przyszli więc do gospody i nie przeczuwając nic dobrego, odrazu weszli na schody. Chłopiec zapalił tymczasem małą lampę, przy której niepewnym światłem zobaczyli, jak straszna w tej gospodzie popełniono zbrodnię. Oslupiali z przerażenia, stanęli obydwa na progu sypialni.

Wszędzie było pełno krwi. Krew sączyła się z piersi zmarłego, czerwieniła się na sukniach i szyi zrozpaczonej wdowy. Jakoteż na suknie kach dzieci, które, zwabione hałasem, z krzykiem przybiegły do pokoju i broczyły również w kałuży krwi.

Obaj Francuzi stali, jak wrośnięci w ziemię i dopiero po dłuższej chwili, słysząc powtórnie już prośbę pani Hanier, jeden z nich wyszedł, aby sprowadzić policję. Niedługo potem usłyszano z ulicy ciężkie kroki policyantów i pobrzęk szabel, uderzających o bruk, a po chwili weszło do sypialni trzech żołnierzy policyjnych, otulonych w gumowe, nieprzemakalne płaszcze.

Lekarz był już niepotrzebny, to nie ulegało wątpliwości. Ludwik Hanier już nie żył, trafiony kulą w samo serce i wszelka pomoc ludzka była już zbyt późna. Policyjanci poczęli pytać pani Hanier o przebieg katastrofy, a biedna kobieta płacząc i załamując ręce, opowiadała, co się stało. Zeznania chłopca były bardziej jasne, ale nie wystarczały, aby na ich podstawie można sobie było wyrobić jakieś pojęcie o zbrodniarzach. Dowiedziawszy się, co tylko mogli, policyjanci naradzili się i zaraz potem jeden z nich udał się do najbliższego urzędu policyjnego, aby donieść o strasznym wypadku, podczas gdy pozostali odprowadzili matkę i dzieci do tylnego pokoju, a sami stanęli obok trupa, oczekując przybycia komisji.

Jeden z tych policyantów, który od dłuższego czasu pełnił służbę w tej części miasta, znał Haniera i jego stosunki rodzinne; drugi jednak, który dopiero od niedawna przybył do tej okolicy, miał ochotę zważyć winę morderstwa na panią Hanier. Jej obłądny wzrok, straszny, odrażający prawie wygląd i ogromne nieprawdopodobieństwo pewnych szczegółów w jej opowiadaniu, wskazywało — jego zdaniem — na to, że biedna kobieta zna dokładnie wszystkie okoliczności, wśród jakich popełniono zbrodnię, tylko nie chce mówić wszystkiego.

— Pani Hanier jest przecie Francuzką — mówił do swego kolegi. — Francuzki zaś lubią mieć kochanków. Może i pani Hanier miała kochanka, z którym ją mąż zastał niespodzianie. To przecie rzuca już pewne światło na katastrofę. Ponadto pani Hanier zeznała, że mąż jej został w ciemności zabity. Wygląda to dosyć zagadkowo, bo przecie kula trafiła Haniera w samo serce, morderca musiał więc dobrze celować. Na karb przypadku zwać tego niepodobna.

— Dlaczego? — przerwał drugi policyjant.

— No, mnie się wydaje, że niepodobna. A jeszcze jedno. Według jej opowiadania, Hanier otrzymał śmiertelną ranę, schodząc ze schodów. Skądże więc ciało jego znalazło się w pokoju, w odległości co najmniej dwudziestu stóp od miejsca katastrofy? Powinien był przecie leżeć na schodach. Wszystko to wygląda mi podejrzanie i zdaje mi się, że zasługuje na uwagę.

Sarszy policyjant odrzucił jednak wszystkie te podejrzenia, powołując się na to, że znał dobrze całą rodzinę Hanierów, wykluczał stanowczo afekt miłosny i oświadczył wreszcie, że jest najmocniej przekonany, iż pani Hanier jest zupełnie niewinna. Opowiadanie jej wprawdzie nie było bardzo logiczne, może być, że w pewnych szczegółach zachodziły sprzeczności, ale jakże inaczej może człowiek właściwie jeszcze zaspiany, bo niedawno ze snu zbudzony, opowiadać?

Tłumaczenie to nie trafiło jednak do przekonania upartego policyjanta, który stanowczo obstał przy swoich podejrzeniach. Rozmowę ich przerwało wreszcie nadejście komisji.

Z sieni, od schodów, usłyszeli obaj wołanie komisarza:

— Tutaj się włamano i zrabowano sklep. Zejdźcie na dół.

Komisarz nie przesadzał. Szynkownia, jakeśmy to już przedtem wspominali, była urządzoną bar-

dzo skromnie, ale czysto i porządnie. Teraz zaś wszystko było w niej wywrócone do góry nogami. Przy jasnym świetle gazowej lampy widać było porzucane stołki, naokoło leżały porozbijane flaszki, z których wino wypито, obrazy ze ścian porzymano, szuflada, służąca za kasę, była do połowy wysunięta i wypróżniona. Wszędzie widać było ślady okropnego zniszczenia. Jeden z policyantów stanął mimowoli w zagłębieniu podłogi, wypełnionym jakąś lepka cieczą i w tej chwili cofnął się przerażony.

Czyżby to była krew? Zapalił zapałkę i schylił się, aby się przyjrzeć tej cieczy. Nie, to nie była krew, to były resztki piwa, wylanego z beczki na podłogę. Widocznie zbrodniarzom chodziło przede wszystkim o doszczętne zniszczenie mienia Haniera. Policyjanci spojrzeli zdziwieni na siebie.

— Zobaczmy naprzód, w jakim sposób zbrodnia rze tu się dostali! — zauważył komisarz.

Zaczęli więc badać. Drzwi wchodowe były wyrwane z zawias. Wprawdzie zamek oparł się sile zbrodniarzy, ale zawiasy wylazły wnet ze spróchniałych belek. Klucz tkwił jeszcze od wewnątrz



...Ze świecą w rękę wszedł do pokoju rodziców i zobaczył straszny obraz. Na ziemi, koło łóżka, leżał w kałuży krwi jego ojciec...

w zamku, któremu komisarz zaczął się uważnie przypatrywać. Włamywacze z pewnością nie koło zamku nie robili. Złodzieje z zawodu nie lubią tracić czasu na rozbijanie flaszek i wylanie piwa z beczek. Nie wyważają oni również nigdy drzwi, bo mają specjalne przyrządy, zapomocą których mogą je cicho i bez szaleństwa otworzyć. Celem ich jedynym jest zrabowanie pieniędzy, a nie niszczenie flaszek i picie. Mordercy Ludwika Haniera zrabowali wprawdzie kasę, ale zdawało się, że włamując się do gospody, mieli także inny cel na oku. Do morderstwa nie było, o ile można było sądzić z dotychczasowych badań, najmniejszego powodu. Zbrodniarzy nie chwycono w pułapkę, droga do ucieczki stała przed nimi otworem. A może oni umyślnie hałasowali, aby zbudzić Haniera i w ten sposób dostać go przed lufy swoich pistoletów?

Po ukończeniu tego wstępnego śledztwa, powrócił komisarz do urzędu policyjnego, aby złożyć raport. W gospodzie pozostał tylko jeden policyjant, mający czuwać nad tem, aby w niej nic nie zmieniano; sprawą tą musiała się bowiem zająć tajna policja.

Noc upływała powoli; burza słabła też coraz bardziej; wstawał rano zimny i posepny. Wieść o morderstwie rozniosła się wkrótce po całej ulicy, doszła także do biur dzienników w śródmieściu. Wczesnym już rankiem przybyli na miejsce nieszczęśliwego wypadku reporterzy, którzy, po okazaniu legitymacji, wpuścił policyjant do wnętrza gospody. Najpierw udali się wszyscy na piętro, aby zobaczyć trupa, który leżał już sztywny na pokrwawionym łóżku; obejrzeni później spłodowaną szynkownię, dziedziniec, odrysowali schody i zanotowali sobie szczegóły. Zasięgnęli jeszcze trochę szczegółów od policyjanta, rozpytali się o wypadek wśród licznie już przed domem zgromadzonych mieszkańców, poczem rozjechali się do redakcji, aby tragiczny ten wypadek podać do wiadomości publicznej zapomocą dzienników.

Przed domem zgromadzonych było mnóstwo ludzi, którzy patrzyli na ściany, jakby z nich chcieli wyczytać rozwiązanie tajemnicy. Obywatele z tej samej ulicy czuli się nawet do pewnego stopnia podnieceni; straszliwe morderstwo popełniono bowiem wśród nich, to podnosiło ich znaczenie, chociaż naturalnie żalowali,

że ofiarą morderstwa padł właśnie Hanier, znany ze swojej uczciwości i cieszący się ogólną sympatią.

W głównej dyrekcji policyjnej, przy ulicy Mulberry, oddawna już obradowano nad tem morderstwem. Około godziny dziewiętej rano wyszedł z biura dyrektora skromnie ubrany mężczyzna, przecisnął się przez gromadę gapiów ulicznych, zgromadzonych przed policyją i szybko zwrócił się ku ulicy Blecker. Jeden z gapiów przyjrzał mu się bacznie, poczem zwrócił się do towarzyszy i rzekł:

— Oto pies gończy, tropiący za śladami!

Człowiek, do którego się odnosiła powyższa uwaga, szedł dalej w głąb miasta. Był on wzrostu średniego, jedno ramie miał nieco podniesione, zresztą był silny i dobrze zbudowany. Na pierwszy rzut oka można było sądzić, że to człowiek młody, przypatrzawszy mu się jednak bliżej, trudno było oznaczyć jego wiek. Mógł mieć lat trzydzieści, mógł mieć równie dobrze pięćdziesiąt. Czoło jego porwane było głębokimi bruzdami, niewiadomo, czy z powodu podeszłego wieku, czy też ciężkich doświadczeń, jakie przechodził. Mógł on należeć do ludzi, którzy się wcześniej starzeją, ale nawet w późnej starości się nie zmieniają.

Ubranie miało bardzo skromne, wogóle, nie było w tej postaci nic takiego, coby zwracało szczególną uwagę. Jedynie wpadał w oko jego ślimaczy, żółty chód, wskutek czego powszechnie nazywano go „Ślimakiem“. więc i my go tak będziemy nazywać.

Ślimak wszedł do konnego tramwaju, zdążającego w kierunku ulicy Wolności. Na rogu tej ulicy wysiadł i w kilku minutach był już na miejscu tajemniczego morderstwa. Stał przed gospodą, jak zwyczajny śmiertelnik, i wlepił oczy w dom, potem patrzył chwilę na policyjanta, stojącego przy drzwiach, wreszcie poczęł obserwować grupy ludzi, stojące naokoło. Na twarzach wszystkich widać było jeno pospolitą ciekawość, nic więcej. Tylko jedna kobieta — prawdopodobnie należąca do wyższych sfer, chociaż miała na sobie jeno długi, szary płaszcz gumowy — okazywała więcej zainteresowania. Przyszła szybko, w towarzystwie wysokiego, tegiego, o szerokich barach mężczyzny, w ciemnym płaszczu, z nasuniętą głęboko, na oczy prawie, czapką.